

Wprowadzenie.

O kulturowych związkach polszczyzny

Nie jest to traktat językoznawczy. Właściwym tematem tej książki jest co innego: czytane poprzez język i jego przemiany wielorakie i fascynujące spotkania dwóch kultur – ich miejsca wspólne, styki, transfery, przenikania, materialne i duchowe przygody włosko-polskie na przestrzeni dziesięciu wieków. Cenne zetknięcia, które wzbogaciły i nadal wzbogacają wielopokoleniową tożsamość dwu społeczeństw. Nie od dzisiaj wiadomo, że – wchodząc z sobą w styczność i bliski kontakt – kultury dawały i brały, czerpały i nadal nieustannie czerpią jedna od drugiej.

Odmienność kultur nadaje głębszy sens każdemu z takich spotkań. Proces wymiany, jaka się między nimi ciągle odbywa i okazjonalnie dokonuje, działa ożywczo i stymulująco: pobudza ich rozwój, jest dla nich obu procesem nieodzownym, niezbędnym do życia. Dotyczy on nie tylko zanotowanego w konkretnych tekstach kultury (zarówno literackich, jak i nieliterackich) zapisu pamięci historycznej sięgającej czasów bardzo odległych (wiek XI) i mniej odległych, lecz także – obecnego w naszym życiu na co dzień – wyrazu językowego świadomości własnej współczesnych Polaków.

Na wyjątkowość i trwałość tych związków zwrócił przed laty uwagę wybitny badacz i znawca dziejów relacji polsko-włoskich Roman Pollak, pisząc:

Do schyłku XVII wieku żadna z kultur europejskich związanych z Polską – nie wyłączając naszych najbliższych sąsiadów – nie mo-

że równać się z kulturą włoską pod względem skali stosunków wzajemnych, ich ciągłości i długotrwałości¹.

Wpływy kulturowe, które na przestrzeni wieków odcisnęły swój ślad w kulturze polskiej, kojarzymy zwykle z Francją, Niemcami czy Anglią. W kilku ostatnich dekadach – z globalną ekspansją kultury amerykańskiej. Na lekcjach polskiego uczy się (często niewłaściwie, ilekroć z etykietką tzw. obcych wpływów) o zapożyczeniach z francuskiego, niemieckiego, angielskiego i innych języków. Mamy więc świadomość, że oddziaływanie pewnych kultur – zwłaszcza francuskiej, niemieckiej, angielskiej, amerykańskiej – zaznaczyło się rozlicznymi przejawami i bardzo wieloma intrygującymi śladami, zapisanymi w naszym języku.

W stopniu nieporównanie mniejszym łączymy jednak to samo zjawisko z Włochami. Tymczasem na przestrzeni wielu stuleci: od średniowiecza począwszy, poprzez niebywale inspirującą epokę odrodzenia oraz baroku, kiedy związki te okazują się szczególnie intensywne i żywe, aż po wiek XVIII, XIX i XX, kultura włoska odegrała wielką – o wiele większą, niż się na ogół sądzi – rolę w rozwoju i przemianach kultury polskiej, przenikając do niej w przeróżnych dziedzinach i na rozmaite sposoby. Rolę tę z dzisiejszej perspektywy należy oceniać jako nad wyraz wszechstronną i doniosłą.

Ogromny wkład rodowitych Włochów w naszą historię, kulturę i sztukę trudno doprawdy przecenić. Mają w tym swój udział zarówno wielkie dzieła, jak i wielkie osobowości. Włochy dały nam nie tylko współtwórcę potęgi rodu Jagiellonów, sekretarza króla i nauczyciela synów królewskich Kallimacha (Filippa Buonaccorsiego Callimaco z San Gemignano, 1437–1497) i wielce zasłużoną dla potęgi Jagiellonów światłą żonę Zygmunta Starego, królową Bonę (1494–1557), pochodzącą z mediolańskiego rodu Sforzów d’Aragona.

Z Italii wywodzi się również długi szereg znakomitych architektów, pracujących w Polsce na przestrzeni kilku wieków. Wie-

¹ Roman Pollak: *Włosko-polskie związki literackie*. Hasło w tomie zbiorowym: *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*. Red. Julian Krzyżanowski. Tom II. Warszawa 1985, s. 611.

le nazwisk tych wspaniałych i powszechnie podziwianych artystów znamy. Jednak postaci znacznej części innych włoskich budowniczych, rzeźbiarzy, sztukatorów, którzy współtworzyli piękno Krakowa, Zamościa, Poznania, Warszawy i innych polskich miast, pozostają dzisiaj anonimowe. Tylko w niektórych przypadkach, dotyczy to zwłaszcza elity pracujących tutaj architektów, wiadomo o nich coś więcej.

Byli wśród nich między innymi: Giovanni Battista di Quadro (renesansowy budowniczy poznańskiego ratusza), florencki architekt i rzeźbiarz Bartolommeo Berrecci (twórca Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu), Agostino Lozzi Starszy i Młodszy, Constantino Tencalla, Matteo Castello, Francesco Fiorentino, Giovanni Trevano, Sante Gucci (zamek w Baranowie Sandomierskim), Giovanni Spazzio, Michelangelo Palloni, Giuseppe Simone Bellotti, Innocente Comperetti, Balddasare i Francesco Fontana, Domenico Merlini, twórca monumentalnego gmachu Teatru Wielkiego Antonio Corazzi (absolwent Regia Accademia delle Belle Arti we Florencji) oraz niezmiernie zasłużony – zwłaszcza dla Warszawy, choć nie tylko – znakomity dziewiętnastowieczny architekt Henryk Marconi (projektant paruset pięknych polskich gmachów i obiektów, między innymi: warszawskich kościołów Wszystkich Świętych, św. Karola Boromeusza i św. Anny, Pawiaka, ratuszy w Radomiu i Skierniewicach, Fontanny Wielkiej w Ogrodzie Saskim i Hotelu Europejskiego).

Dziełem architektonicznej wyobraźni Giovanniego Trevano była zbudowana w pierwszej połowie XVII wieku dla Władysława IV letnia rezydencja królewska przy Krakowskim Przedmieściu, nazwana później Pałacem Kazimierzowskim, a pierwotnie z włoska – Villa Regia. O jej przepychu, wspaniałości i klasie świadczą elementy zdobnicze wydobyte ostatnio z dna Wisły. Po zdobyciu Warszawy wojska szwedzkie całe jej wyposażenie wywoziły na skutach. Niewielka część w trakcie transportu zatонуła w rzece i dlatego możemy dzisiaj podziwiać w zbiorach Muzeum Warszawy to, co utracone podczas potopu. Niewiele jest w ówczesnej Europie równie wykwintnych i pięknych rezydencji, zbudowanych i urządzonych w stylu włoskiego baroku.

Urodę barokowego pałacu w Wilanowie w ogromnej mierze stworzyli architekci i budowniczowie różnych specjalności wło-

skiego pochodzenia. Siedemnastowieczna rezydencja królewska swoją ewidentną włoskość oddawała już w charakterystycznej zmianie nazwy samego miejsca, które z Milanowa stało się Wilanowem, co zarówno po łacinie, jak i po włosku nawiązuje do *villa n(u)ova*. Dziś ów włoski rys magnackiej siedziby Sobieskich ustąpił miejsca poczuciu, iż sam pałac, ogród i wszystko, co wiąże się z Wilanowem, stanowi dziedzictwo naszej własnej rodzimej kultury z czasów jej staropolskiej świetności.

A skoro mowa o „włoskości” obiektów takich, jak: Kaplica Zygmuntowska, Sukiennice, Willa Decjusza w Woli Justowskiej, pałac Górków na Starym Mieście w Poznaniu, Krasiczyn, zamek w Pieskowej Skale, ratusze poznański i gdański, zamek w Mosznej, Zamość, Baranów Sandomierski, Wilanów i inne... Nasuwa się ogólniejsze spostrzeżenie, iż kultura i sztuka w tak wspnianym wydaniu bywają niezastąpionymi ambasadorami kontaktów i związków pomiędzy narodami, znosząc całkowicie poczucie obcości między nimi. Stopień przyswojenia tego, co pozostawili po sobie włoscy mistrzowie, czyni ich dzieło na wskroś polskim, by wspomnieć tylko słynną tęskną frazę z poświęconego Staremu Miastu poematu Juliusza Słowackiego: „Jest u nas kolumna w Warszawie, na której usiadają podróżne żurawie”.

Spoglądając na 22-metrową kolumnę króla Zygmunta III Wazy na placu Zamkowym, nie mamy współcześnie świadomości, że jest ona dziełem trzech włoskich artystów XVII wieku. Całość została zaprojektowana przez architektów Agostina Lozziego i Constantina Tencallę, autorem samej rzeźby króla był zaś boloński artysta Clemente Molli. (Ciekawostką historyczną jest, że pomnik Zygmunta III Wazy, z istoty swej świecki, oprotestował z powodu formy przesadnego wyniesienia figury króla ku górze, rzekomo należnego tylko świętym, ówczesny nuncjusz papieski Mario Filonardi).

To tylko garść zaczerpnięta z wielu możliwych przykładów...

Liczba renesansowych i barokowych oraz klasycystycznych obiektów zbudowanych niegdyś na ziemiach polskich, których autorami byli mistrzowie z Italii, liczona jest w tysiące. Wiele z nich w oczywisty sposób współtworzy urodę polskiego krajobrazu kulturowego. Wyobraźni i umiejętnościom znakomitego włoskiego projektanta zawdzięczamy zarówno perłę polskiego

odrodzenia Zamość, arcydzieło renesansowej architektury miasta zaprojektowane przez Bernarda Morando rodem z Padwy, jak i zbudowany w XVII wieku Wilanów. Wracając jeszcze na moment do renesansu: niewielu Polaków wie, że za panowania Zygmunta Augusta to właśnie włoscy architekci, budowniczowie, cieśle, kamieniarze, rzeźbiarze, sztukatorzy etc. przebudowali Wawel i Sukiennice; oni także po mistrzowsku ozdobili kaplice i grobowce w katedrze wawelskiej.

Na plejadzie wspaniałych włoskich architektów rzecz się bynajmniej nie kończy. Z Włoch mamy także: malarzy królewskich Marcella Bacciarellego (późniejszego profesora Uniwersytetu Warszawskiego) i Bernarda Bellotto zwanego Canalettem, garybaldczyka pułkownika Francesca Nullo, ilustratora *Pana Tadeusza* Michała Elwiro Andriollego, znamienity galicyjski ród Baderów, słynnego przed stuleciem awiatorka, hrabiego Michała Scipio del Campo i Krzysztofa Zanussiego (syna inżyniera, budowniczego warszawskiego Dworca Głównego, którego włoskie korzenie rodzinne tkwią na północy Italii, u podnóża Alp, w malowniczym miasteczku Pordenone). Sam Zanussi, znany na całym świecie reżyser filmowy, od lat reżyseruje w ojczyźnie swych przodków spektakle na scenach tamtejszych teatrów operowych.

Niezwyczajne zasługi na polu wymiany kulturalnej między Polską a Włochami położył italianista, poeta i tłumacz Jarosław Mikołajewski, wieloletni dyrektor Istituto Polacco w Rzymie. Tłumaczami z najwyższej półki są również: Maria Bersano-Begey, Barbara Sieroszevska, Zofia Jachimecka, Stanisław Kasprzysiak, Irena Conti, Francesco M. Cataluccio oraz Francesco Groggia. Publicystykę reprezentują w codziennym konsekwentnym działaniu na rzecz rozwoju szeroko pojętych włosko-polskich związków kulturalnych: urodzony w Warszawie Paolo Morawski (rocznik 1955), sekretarz generalny prestiżowej nagrody Prix Italia w latach 2014–2015, oraz szef warszawskiej „Gazzetta Italia” Sebastiano Giorgi.

Od półwiecza zdomowiony jest w Polsce urodzony w Rzymie reżyser teatralny, absolwent warszawskiej PWST, Giovanni Pampiglione (rocznik 1944) – artysta zakochany w naszym kraju i w jego kulturze, który uczył się polskiego na dramatach Witka-

cego. Nie mówiąc o popularnej przed wojną aktorce filmowej, jaką była mieszkająca przez dziesiątki lat w Krakowie Carlotta Bologna (żona reżysera Wiktora Biegańskiego), czarującej italianistce, wykładowczyni Uniwersytetu Warszawskiego i popularyzatorce tajników kuchni włoskiej Tessie Capponi-Borawskiej, znanej z *Perły w koronie* urodziwej Łucji Kowolik (której matka była rodowitą Włoszką, a ojciec polskim żołnierzem z Armii Andersa) czy pięknej Weronice Rosati, córce naszego byłego ministra spraw zagranicznych Dariusza Rosatiego.

Z innej beczki, włoski rodowód ma w języku polskim długi szereg terminów morskich, żeglarskich i akwanautycznych, do których należą między innymi: *akwanautyka, barka, flota, marynarz, armator, bandera, linia, galeon, korweta, fregata, portolany, korsarz, flauta, kompas, busola, kabotaż, kabestan, bom, marina* czy *akwalungi*. Skoro już o tej dziedzinie i o sprawach żeglugo-morskich mowa, warto przy okazji przypomnieć, że we Włoszech właśnie zostały przed wojną zbudowane dwa – będące dumą polskiej floty – nowoczesne transatlantyki pasażerskie: MS „Piłsudski” i MS „Batory”, czyli Lucky Ship – oba zwodowane w roku 1936 w stoczni Monfalcone w Trieście.

Nieźle, całkiem nieźle... A przecież na tym pobieżnym wyliczeniu bynajmniej nie koniec. Oprócz takich jednostkowych paranteli i międzynarodowych transferów istnieje pewien – bez porównania szerszy – kontekst i systemowy wymiar związków włosko-polskich zapisany w wielowiekowym przenikaniu się obydwu języków i obu kultur. Czerpali niegdyś z niego pełniymi garściami nasi przodkowie, czerpiemy nadal i my: zarówno dla wartości duchowych, jak i – co w tym przypadku szczególnie ważne – dóbr kultury materialnej, z wyśmienitą kuchnią włącznie.

Na kartach tej książki spróbujemy odnaleźć wspólnie z Czytelnikami zaiste niezwykle bogactwo związków, jakie wieki temu łączyły i nadal łączą kulturę włoską i polską. Bogactwo trwałe zapisane w naszym języku. Pobieżnie dokonany przybliżony szacunek pozwala stwierdzić, że to co najmniej tysiąc, a może i półtora tysiąca, wyrazów języka polskiego, w tym również takie, które w bezapelacyjny sposób uznajemy dzisiaj za rdzenie polskie. Naturalnie, „italianizmy” owe należy rozpatrywać

z uwzględnieniem szerszego i o wiele starszego kontekstu językowego, jaki w przypadku części z nich (*mama, jagnię, oko, świekra, wół, osioł, kot, sok, olej, oliwa* i in.) wyznacza tradycyjna koncepcja etymologicznej wspólnoty i prepokrewieństwa w obrębie rodziny języków praindoeuropejskich.

Sięgnijmy po przykłady wybrane z wielu możliwych: *gleba, grupa, zupa, sok, mulat, strzyga, jagnię, lilia, komora, muł, osioł, jaśmin, karaś, rozmaryn, gołąb, kasztan, konopie, ocet, flaszką, fraszka, baryła, szpinak, łazanka, mama, papa, wdowa, frędzel* (w liczbie mnogiej *frędzle*), *szkoła, meta, pajac, kot, rosół, mańka, muzykant, rzepa, poczta, paczka, anioł, grzęda, karta, malwa, furtka, kurtka, barka, lanca, oko, owal, patelnia, pal, palik, grzęda, faszyna, pastorałka, pielgrzym, seler, por, olej, oliwa, cokół, krata, nisza, kapeć, ciapa, moszcz, muskuł, metal, kukułka, kminek*. Także: *cebula, cymbał, rondel, rumor, świekra, baszta, kapłon, kapusta, żupan, szpada, szkatuła, obskurny, matactwo, matolek, medytować, zbesztać, sekutnica, zbir, nawet okrzyki ba! basta! i uff!* oraz wiele, wiele innych) – mają w gruncie rzeczy łacińskie, starogreckie, łacińsko-włoskie bądź włoskie filiacje. Słowa te zawierają w sobie – czasem wyraźnie **w i d o c z n y i s ł y s z a l n y**, a nieraz dość głęboko ukryty – każdorazowo jednak funkcjonujący w systemie i utrwalonej pamięci języka polskiego niczym kontrafaktura – „włoski” źródłosłów, wywodząc się zarówno w sensie lingwistycznym, jak i kulturowym z Italii.

Czy jednak są one istotnie z pochodzenia włoskie? Niekoniecznie. To kwestia otwarta i wielce dyskusyjna. Włosko-polskie powinowactwa lingwistyczno-kulturowe domagają się od badacza uwzględnienia pamięci o wiele głębszej niż kontakt o charakterze genetycznym, ograniczony jedynie do dwóch sprzężonych z sobą języków. Sprzężenie owo dotyczy przecież wspólnego mianownika ich własnych odrębnych dziejów ewolucji. Przywykło się uważać, że czuwa nad tym wszystkim pramatka łacina. Owszem, zapewne tak, ale tego rodzaju dyżurna eksplikacja brzmi trochę jak: *Roma locuta, causa finita*. I daje obraz wysoce umowny i bardzo uproszczony, podczas gdy celem poniższych refleksji nie jest dowód genetyczny, lecz badawcza otwartość na odkrywanie kulturowej funkcji związków, których istotę wyznacza: zbliżenie, styk, kontakt, przenikanie

się, przeniesienie i współistnienie słownictwa odmiennych systemów językowych. Bez z gruntu fałszywego założenia o ich absolutnie osobnej, autonomicznej proveniencji.

Nasuwa się w tym momencie prowokacyjne pytanie: czy świadczy to źle o samodzielności naszego języka i o zależności kultury? Nic podobnego. A nawet wprost przeciwnie. Otwartość na to, co inne, świadczy jak najlepiej o języku i kulturze, zwłaszcza o ich zdolności do przyswojenia. Jest swoistym objawem zdrowia, niczym apetyt na różnorodność pożywienia. Poruszona tu kwestia dotyka wprost etymologii i sposobu jej pojmowania. Jeśli rozumieć ją wąsko i płytko, dziedzina ta – w dawnym wydaniu – zajmowała się tropieniem obcojęzycznych „wpływów” świadczących o rzekomym braku samodzielności danego języka. Etymologia pojmowana szerzej i w odmienny sposób odkrywa sferę bez porównania ciekawszą, a mianowicie przenikanie się – interferencję – języków i kultur, wielostronne relacje i powinowactwa pomiędzy nimi.

Wiekopomny dwuwers Mikołaja Reja:

A niechaj narodowie wżdy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają!

(Zwierzyniec. Do tego, co czytał, 1562)

nie jest bynajmniej manifestem wygłoszonym z partykularnego zaścianka ani zachętą do lingwistycznej autarkii. Warto te pamiętne słowa interpretować całkiem inaczej: jako zaproszenie szesnastowiecznej polszczyzny do rodziny języków pełnoprawnych, żywych i żywotnych – takich, którymi w miarę potrzeby i wedle własnej woli da się wyrazić wszystko.

W świetle klasycznego Morrisowskiego modelu funkcji języka, wierzchołkiem etymologicznej triady staje się *p r a g m a - t y k a*. Nie znaczy to bynajmniej, iż upodrządnione bądź unieważnione zostały przez to: syntaktyka, a tym bardziej semantyka. Mowa jest tylko o głównym akcencie badawczego zainteresowania. Studia i refleksje o charakterze kulturowym pozwalają dostrzec, iż zdolność adaptacji rzeczy czerpanych z zewnątrz jest sprawdzoną miarą żywotności systemu językowego – wskaźnikiem posiadanej przezeń energii, wyrażającej się zarów-

no w teraźniejszym, jak i przeszłym funkcjonowaniu nie tylko dla siebie, ale i pośród innych.

W książce tej przenikają się i sąsiadują z sobą obserwacje natury lingwistycznej, oparte na traktowanych z należnym szacunkiem tradycyjnych ustaleniach badaczy języka, oraz hipotezy o charakterze kulturowym. Tym ostatnim przysługuje szczególny status intuicji i domniemań, a nie pewników. Jest przy tym rzeczą nad wyraz istotną, by uświadomić sobie wielowarstwowość (złożony z wielu nakładających się na siebie pokładów) charakter zasobów leksykalnych zarówno języka włoskiego, jak i polskiego.

Rozważania o charakterze wewnątrzjęzykowym, aczkolwiek wydobywają systemowy aspekt języka, okazują się częstokroć zawodne jako zbyt prosty klucz wyjaśniania. Język, jego rozwój i systemowe przemiany stają się znacznie bardziej zrozumiałe i czytelne, gdy rozpatrywać je w szerszym kontekście: w świetle mikroprzemian i związków zachodzących w makrosystemie kultury i między różnymi kulturami.

Wydaje się konieczne, by w tym miejscu rozważyć poznawcze walory tego typu refleksji. Z założenia swego nie ma ona być zaprzeczeniem tradycyjnej orientacji lingwistycznej, lecz jej rozwinięciem. W gruncie rzeczy mówimy o łączącej oba wskazane aspekty perspektywie interferencji lingwistyczno-kulturowej. Procesy zachodzące w języku, w tym szczególnie zjawiska występujące w jego sferze leksykalnej, nie są w naszym rozumieniu czymś całkowicie oderwanym i autonomicznym wobec zjawisk i procesów socjokulturowych, które zostają odzwierciedlone i zapisane w zasobach pamięci danego języka. Całkiem przeciwnie, dochodzi do nich, ilekroć w procesie komunikowania zachodzi pragmatyczna potrzeba dokonania zmiany systemowej. Zmiana ta dokonuje się każdorazowo w postaci inicjatywy wypowiedzeniotwórczej, która wprowadza do danego systemu nowy element.

Najważniejsza w procesie interferencji kultur i języków jest bowiem nie taka czy inna geneza leksemu, lecz jego – możliwie szeroko pojęta – funkcja. Nie przeciwstawiamy funkcji danego wyrazu jego genezie, lecz próbujemy oświetlić i zinterpretować w odmienny sposób bardziej rozległy (to znaczy

wyprowadzany nie z systemu języka, lecz z realiów określonego kontekstu kulturowego) sens transferu, jaki się dokonał. Nie ma tutaj zastosowania i nie działa dychotomia: funkcja versus geneza. Jeśli termin „funkcja” rozumieć dostatecznie rozległe, to obejmie on swym zasięgiem – a w każdym razie powinien objąć – również genezę transferowanego wyrazu, nie sprowadzając jej jednak do ciasnych horyzontów myślowych „obcego wpływu”.

Poszczególne etymemy można rozpatrywać w kategoriach przeniesienia do systemu danego języka rozwiązania (leksemu) sprawdzonego uprzednio w innym systemie językowym. Refleksja lingwistyczno-kulturowa eksploruje nieokreśloność samego procesu i docieka tajemnicy trajektorii dokonanego transferu. Transfer ten łączy w sobie wszystkie aspekty koncepcji de Saussure’a. U swych początków jest on bowiem zawsze czyjąś indywidualną inicjatywą wypowiedzeniotwórczą zachodzącą w procesie komunikowania (*langage*) – inwencją, która poprzez serię komunikatów (*paroles*) w rezultacie przenika do nowego systemu językowego (*langue*).

Najpiękniejsze i najbardziej pociągające w studiach lingwistyczno-kulturowych jest to, iż otwierają one niezmiernie rozległą perspektywę uczestnictwa danego języka i kultury w ogólnoludzkiej – międzynarodowej, interlingwistycznej i transkulturowej – wymianie wszelkiego rodzaju dóbr i wartości. Dziedzina ta, właściwie pojęta, nie zamyka i ogranicza, lecz przeciwnie – rozszerza spojrzenie na studiowane przez nią zjawiska.

Język naturalny nieustannie ewoluuje: z dnia na dzień i przez stulecia. Świadectwem zachodzących w nim procesualnych przemian jest historyczne i teraźniejsze życie wyrazów: ich pradawna, dawna bądź niedawna przeszłość i czas dzisiejszy. Słownik każdego żywego języka ulega na bieżąco ciągłym przemianom. Jedne (niegdyś nowe!) słowa zanikają, wychodzą z użycia i wypadają z systemu, inne co rusz dochodzą. Każdy z pojedynczych leksemów podlega mnogim przekształceniom: fonetycznym, morfologicznym, ortograficznym, semantycznym, frazeologicznym, syntaktycznym etc.

Zarówno pochodzenie, jak i ewolucja języka i jego leksyki zostają zapisane w tektonicznych pokładach i historycznych war-

stwach rozwoju systemu. Ślad ten okazuje się niezwykle trwały, choć niejednokrotnie bywa zatarty przez czas i niezbyt czytelny. Echo etymologii – i wywołana nim potrzeba studiowania tego, co ono zawiera i co z sobą niesie – odzywa się, ilekroć dochodzi do głosu refleksja typu metajęzykowego, a wraz z nią pytania dotyczące frapującej kwestii pochodzenia danego wyrazu.

Napisałem przed chwilą „widoczny i słyszalny” nie bez ważnego powodu. Otóż, ilekroć mowa o kontaktach i transferach, do jakich dochodzi w relacjach między dwoma językami, tradycyjne podejście do tego typu zjawisk zakłada milcząco przyjętą konieczność sięgnięcia do źródeł pisanych. „Zapożyczenie” istnieje, rozumuje się, jeśli istnieje niezbity dowód na nie, utrwalony w konkretnym zapisie tekstowym, zwłaszcza tekście literackim, choć nie tylko. Niekiedy również stoi za tym pisemnym argumentem poczucie swoistej asekuracji badacza, wynikające z utartego przekonania, iż w przypadku ewentualnych wątpliwości o wszystkim rozstrzyga słownik jako – uznawana za w pełni obiektywną – baza umożliwiająca dokonywanie porównań.

A co wtedy, gdy żaden zapis źródłowy nie istnieje, nie zachował się, badacz nie natrafił na niego i nie jest mu on dostępny? Co wówczas, gdy podamy w wątpliwość (bo też pozostaje ona wielce wątpliwa!) bardzo skądinąd ryzykowną i całkiem nieuprawnioną tezę, iż tak zwane „zapożyczenia” są wyłącznie domeną języka literackiego i do niego należy ograniczyć ich studiowanie? Owszem, w polu widzenia będziemy ciągle mieli, traktowany niczym niewzruszony „pewnik”, *corpus delicti* w postaci źródeł pisanych, ale poza zasięgiem naszego spojrzenia i horyzontem oglądu znajdą się wielkie terytoria mowy potocznej, w której – było nie było – zapisało się w nieustannych, istniejących przez wieki relacjach i kontaktach włosko-polskich nieporównanie więcej niż tylko w tekstach literackich czy paraliterackich.

Mamy tu dwie łączące się z sobą kwestie. Pierwszą z nich jest zagadnienie normatywnych odmian obu języków. Drugą – mowa potoczna i różnica między świadectwami pisаныmi a świadectwami oralnymi. W kontekście obu poruszonych kwestii, których nie sposób zlekceważyć, a tym bardziej pominąć, nieodzowna może się okazać systemowa reorientacja w zakresie

współczesnych studiów lingwistyczno-kulturowych, dotycząca zazwyczaj niedocenianej przez poprzedników wagi odmian nie-normatywnych oraz świadectw mówionych. Nie zmierzam tutaj do ostrego przeciwstawienia pisanej i mówionej wersji języka. Wprost przeciwnie, uważam je obie: *primo* za równoważne i *secundo* za komplementarne względem siebie w szerokiej perspektywie rozmaitych alternatywnych praktyk komunikowania.

Faktem jest bowiem, że komparatystyka poprzestająca na porównawczym studiowaniu leksyki należącej do normatywnych odmian obu języków przepuszcza, chcąc nie chcąc, wielkie bogactwo innych – to znaczy nienormatywnych i Nieliterackich – przepływów interlingwistycznych i międzykulturowych. Przepływy z włoszczyzny do polszczyzny mają to do siebie, że właśnie na gruncie mowy, a niekoniecznie tylko pisma, działa się – i ciągle dzieje – w tej materii bardzo wiele. W świetle badawczego zainteresowania jedynie wycinkiem zakresu całego zjawiska, obejmującym odmiany normatywne i źródła pisane, relacje te stają się po prostu niewidoczne jako rodzaj transferów o charakterze efemerycznym, co z metodologicznego punktu widzenia jest może i wygodne, ale poznawczo zupełnie błędne.

Polszczyzna zawdzięcza włoskiemu nieporównanie więcej niż to tylko, co w ciągu wieków przeniknęło do tradycji języka literackiego: począwszy od Reja, Kochanowskiego i Górnickiego, poprzez Morsztyna, Mickiewicza, Fredrę, Słowackiego i Norwida, aż do Iwaszkiewicza, Tuwima, Gałczyńskiego, Miłosza, Baczyńskiego, Szymborskiej, Herberta, Białoszewskiego i Barańczaka. Zwracając uwagę Czytelnika na ten ważki problem, zmierzam do istotnej korekty metodologicznej, która może przyczynić się do nowego otwarcia w nowocześnie uprawianych badaniach i studiach kulturowych z zakresu komparatystyki lingwistycznej.

Aby to osiągnąć, trzeba na początek zrezygnować z nadmiernego przywiązania do źródeł pisanych (literackich bądź paraliterackich) i – w o wiele szerszym niż dotąd zakresie – uwzględnić poszczególne odmiany specjalistyczne języka powiązane z rozmaitymi dziedzinami życia tudzież mowę potoczną jako przebogaty rezerwuar materiału językowego dostarczającego cennych inspiracji dla tego typu badań.

Obecne przywiązanie badaczy do pisma i źródeł pisanych nadmiernie ogranicza perspektywę poznawczą. Funkcjonuje ono jak ortodoksja, od której na początek warto się uwolnić. Kryterium literackości jako wyznacznik, choć ważne, nie jest kryterium ani wystarczającym, ani tym bardziej jedynym. Należy mieć na uwadze, oczywisty skądinąd, fakt, iż polski język literacki to nie polszczyzna w ogóle, lecz tylko jedna z jej odmian. Prawda, że odmiana pierwszorzędnie istotna, ale nie jedyna, zwłaszcza w materii „zapożyczeń”.

Dokładnie to samo na temat eksponowanego statusu języka literackiego można powiedzieć w odniesieniu do języka włoskiego: zarówno italianizmów uchodzących za „czyste”, jak i italianizmów z ich głębokim helleńskim i łacińskim podkładem. Problem nie tkwi w skądinąd bardzo doniosłej kulturotwórczej roli „literackości”, lecz w absolutyzującym tę rolę sposobie jej traktowania.

Porównywanie z sobą dwu systemów językowych nakazuje zadać sobie rudymen tarne pytanie, co takiego w istocie porównujemy? Czy chodzi tylko o okazjonalne refleksy literackiej włoszczyzny, dostrzegalne od stuleci po dzień dzisiejszy w polszczyźnie literackiej? Odpowiedź na to pytanie brzmi: nie. Warto zresztą zauważyć tytułem niezbędnego przypomnienia, iż współczesny włoski język literacki jako odmiana normatywna czy też, ostrożniej rzecz ujmując, zmierzająca ku normatywności i wyznaczająca kryteria poprawności wystąpienia, datuje się w swoich początkach na rok 1861, a więc liczy sobie około półtora wieku.

Nie usuwamy bynajmniej z pola widzenia fundamentu nieśmiertelnych dzieł Dantego i Boccaccia, poezji Michała Anioła, traktatów Vasari ego, Albertiego czy Macchiavellego. Nie taki jest sens powoływania się na historyczny przełom, jakim było dla milionów Włochów zjednoczenie ich ziem od Alp po Sycylię w granicach i w ramach zintegrowanej państwowości. Zauważamy tylko że dziewiętnastowieczne zjednoczenie Włoch oznaczało unifikację szerokiego spektrum wielu różnych odmian lokalnych i dialektów – ich zjednoczenie, które poniekąd przywodzi na myśl domagającą się połączenia w jedno niespójność regionalnych odmian polszczyzny w momencie odzyskania niepodległości w roku 1918.

Mają swoje rozliczne małe ojczyzny Włosi, mamy je również my. Małe ojczyzny oznaczają odmiennosć nie tylko kuchni czy obyczajów, lecz także języków, którymi mówią ich mieszkańcy. Inna jest mowa Toskańczyków, inna genueńczyków, Friulańczyków, jeszcze inna neapolitańczyków, nie mówiąc o Sycylijczykach czy mieszkańcach Sardynii. Podobnie u nas, z Wielkopolanami, krakusami, warszawiakami, gwarą śląską, mazowiecką, góralską, zabużańską, polszczyzną wileńską, lwowską etc. Różnice między nimi istniały, istnieją i istnieć będą. Oby! Język oficjalny w różnych jego odmianach i funkcjach ma to zróżnicowanie społecznie integrować i scalać w nową jakość. Język literacki, w szczególności zaś poetycki – czerpać z niego własne soki i „korzenną” inspirację.

Etymologia, czyli pamięć. Studiując etymologię wyrazu, odkrywamy jego kulturowe echo. Każde drążenie etymologiczne, przebijając się przez kolejne warstwy, odsłania pokłady pamięci danego języka. Wyróżniona przed momentem etymologia poetycka w mistrzowskim wydaniu: Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida czy Leśmiana odgrywa zarówno w poezji, jak i w kulturze językowej doniosłą rolę rewelatora. Poeci, nawet gdy się mylą, myślą się bowiem w sposób niezmiernie twórczy i odkrywczy.

Pod pewnymi względami etymologia poetycka przypomina neologizm. Podobnie jak jemu, przysługują jej szczególne prawa. Jest bowiem – również wtedy, kiedy pozorna czy wręcz całkiem naukowo chybiona – działaniem wyzwalaającym potencjał kreacyjny języka, który mówi poprzez nią więcej niż zwykle.

W etymologii poetyckiej odzywa się nie tylko poruszona głosem poety pojedyncza cząsteczka danego języka, lecz daje o sobie znać cały system. Włączając do naszych rozważań etymologię poetycką, co uważam za konieczne, warto połączyć z sobą w jedno potoczność i powszechność, słowem „zwyczajną” stronę języka z jego odświętnością, niepowtarzalnością i poetycką odkrywczością.

Studia nad pochodzeniem wyrazów uczą słyszeć i rozumieć język, przypominają o morfologii przeróżnych procesów i życiowych funkcji w nim zachodzących. Wydobywają na jaw to, co

uległo zatarciu, przysypane pragmatyczną codziennością i uznane za przebrzmiałe i dla ogółu nieistotne.

Co to oznacza dla współczesnych studiów nad relacjami pomiędzy włoskim a polskim? Przede wszystkim niesie z sobą imperatyw ponownego przemyślenia generalnego modelu związków lingwistyczno-kulturowych między oboma językami. Na przestrzeni wieków relacje owe okazują się nie czymś okazjonalnym i efemerycznym, lecz długotrwałym i niezwykle intrygującym procesem, który pozostawił po sobie rozliczne ślady w wielu zakresach polszczyzny. Dzisiaj kwestia ta każe uznać, iż oficjalna (resp. normatywna i słownikowa) postać języków polskiego i włoskiego, choć w praktyce pozostaje pierwszorzędnie ważna, w żadnym razie nie jest zdolna wyczerpać o wiele bardziej rozległej i złożonej problematyki związków między nimi.

Reorientacja w zakresie refleksji o charakterze lingwistyczno-kulturowym dotyczy w pierwszej kolejności korzyści poznawczych płynących z funkcjonalnego spojrzenia na transfery językowe – jako przejaw spotkania, kontaktu i osmotycznej wymiany odmiennych kultur, przechowywany w pamięci systemu.

W książce tej postaramy się ukazać relacje lingwistyczno-kulturowe między językiem włoskim a polskim w możliwie szerokiej panoramie, wychodząc z założenia, iż powinowactwa i zbieżności występujące między zasobami leksykalnymi należącymi do różnych zbiorów nie ograniczają się tylko do sfery pisma i pisanej odmiany danego języka, a w interesującym nas przypadku studia nad nimi wymuszają wręcz na badaczu zainteresowanie językiem mówionym w jego różnych postaciach i odmianach. Dodajmy: z niewątpliwą korzyścią dla głębszego rozumienia intrygującej złożoności i niewyczerpanego bogactwa przedmiotu badań.

Jak powiadał Ludwig Wittgenstein: „Granice mego języka wyznaczają granice mojego świata” („Die Grenzen meiner Sprache bedeuten die Grenzen meiner Welt”).

P.S. Zbiór niewzruszonych pewników czy tylko roboczych hipotez, domniemań i wątpliwych tropów? Tytuł *Tutti frutti* został wybrany nieprzypadkowo. Podtytuł *Z dziejów kulturowych transferów języka włoskiego w polszczyźnie dawnej i współczesnej*

wyjaśnia wiele, ale nie wszystko. Historia pochodzenia i kulturowych przeniesień, zapisana na kartach tej książki, obejmuje mnóstwo przeróżnych słów, zwrotów i skojarzeń. Niektóre z nich wydają się oczywiste, inne mniej. Jeszcze inne – wysoce wątpliwe i dyskusyjne. Każdy z takich tropów zaprasza Czytelnika do wyruszenia w osobistą podróż po tym fascynującym terytorium.

Signori e Signore, buon viaggio!

